

Warren H. Carroll

**PILOTYNA**

**I KRZYŻ**



**W**  
**VEKTORY**

Wspólnocie Sióstr Karmelitanek z Buffalo, których modlitwy są tarczą i puklerzem Christendom College.

*Któż z was, gdy ma sto owiec, a zgubi jedną z nich, nie zostawia dziewięćdziesięciu dziewięciu na pustyni i nie idzie za zgubioną, aż ją znajdzie? A gdy ją znajdzie, bierze z radością na ramiona i wraca do domu; sprasza przyjaciół i sąsiadów i mówi im: „Cieszcie się ze mną, bo znalazłem owcę, która mi zginęła”. Powiadam wam: Tak samo w niebie większa będzie radość z jednego grzesznika, który się nawraca, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych, którzy nie potrzebują nawrócenia.*

*Biblia Tysiąclecia, Ewangelia według św. Łukasza, 15:4-7*

# **Warren H. Carroll**

**przekład: Jerzy Morka**

Tytuł oryginału

*The Guillotine and the Cross*

Redaktor programowy Eugeniusz Obarski

Przekład

Jerzy Morka

Redakcja

Romuald Lazarowicz

Korekta

Helena Lazarowicz

Projekt okładki

Krystyna Szczepaniak

Skład i łamanie „Lena”, Wrocław

Wersja cyfrowa: Mateusz Bliźniak

Ilustracje: Biblioteka Publiczna i Uniwersytecka Neuchatel, Musée de la Chouannerie de la Vendée et des Guerres de l'Ouest, Biblioteka Uniwersytecka w Sewilli, Biblioteka Kantonu Jura w Porrentruy

© Copyright Warren H. Carroll, 2006

© Copyright Christendom College, 2006

© Copyright for the Polish édition by Wektory, 2006

© Copyright for the Polish translation by Jerzy Morka, 2006

Druk i oprawa

Poligrafia Maweks, [www.maweks.pl](http://www.maweks.pl)

ISBN 83-922896-9-2 (978-83-922896-9-2)

WYDAWNICTWO „WEKTORY” SĄDKÓW ul. Kolejowa 5 55-080 Kąty Wrocławskie

# I. Ça ira!<sup>1</sup> — Uda się!

(10 sierpnia 1792)

W parna, gorącą noc 10 sierpnia 1792 roku, trzy kwadransy po północy, odezwały się nagle paryskie dzwony. Dzwony kościelne, których najważniejszą funkcją było zwoływanie wiernych na nabożeństwo. Tym razem kościoły pozostały ciemne i puste, a dzwony mimo to biły. Niektóre z nich początkowo powoli, inne coraz szybciej i szybciej, aż uderzenia zwały się w jedno, nieomal ciągle, ogłuszające bim-bom- bim-bom. Biły miastu na alarm, na trwogę, wzywały do broni, choć uderzenie w nie bez zezwolenia rządu było przestępstwem karanym śmiercią. Tamtej nocy jednak w Paryżu funkcjonowały trzy rządy: królewski, Zgromadzenia Narodowego oraz powstańczy rząd Komuny Paryża. O tym ostatnim nie wiadomo, jako że utworzono go w tajemnicy tamtej właśnie nocy. To za sprawą Komuny Powstańczej uderzono na alarm. Zanim odezwały się dzwony, przez całą noc po ulicach krążyła pogłoska, że nadszedł czas, że to już teraz, tej nocy. „Uda się!” — powtarzali ludzie, nie wiedząc do końca, dlaczego tak mówią, ale powtarzali to bezustannie: Ça ira! Uda się! Ça ira! Uda się!<sup>2</sup> W skromnym mieszkaniu pod numerem 24 na rue des Cordeliers (ulica Franciszkanów) szlochały trzy kobiety, które przeraził dźwięk dzwonów. Od kilku minut doświadczały obywatelskiego lęku, aż usłyszały znajome ciężkie kroki i z pokoju obok, gdzie próbował zdrzemnąć się choć na kilka chwil, wyłonił się niezwykle i nietuzinkowy człowiek. Był to mężczyzna ogromnej postury, o tubalnym głosie i dominującej osobowości. Jego wielka, groteskowo spłaszczona twarz wyglądała jakby uszkodziło ją kopnięcie i cios rogiem byka (tak w istocie było uczyniły to dwa różne byki — a ponadto strątało ja stado świń). Niezdarnie okazując czułość, pospieszył uspokajać kobiety: swoją żonę Gabrielle, którą prawdziwie i głęboko kochał, Lucille Desmoulins — jedną z najpiękniejszych paryżanek, oraz Louise Robert. Powiedział im, że nie ma się czego bać, wszystko toczy się zgodnie z planem ułożonym na tę właśnie noc. Nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, bo chronił je on — Georges-Jacques Danton, przywódca Rewolucji Francuskiej.

O pierwszej nad ranem od strony mostu Pont Neuf nad Sekwana dobiegł odgłos armatniego wystrzału, a dzwony nadal nieustannie biły na trwogę. Setki uzbrojonych mężczyzn gromadziły się na placu de Greve, który opadał w stronę nabrzeża Sekwany naprzeciwko Ratusza. Pośród nich szczególnie rzucała się w oczy zwarta grupa 516 mężczyzn, którzy przymaszerowali lulaż aż z Marsylii, drugiego co do wielkości francuskiego miasta położonego na południowym wybrzeżu, śpiewając bojowa i marszowa zarazem pieśń „Marsylianek”, która za ich sprawą już stała się sławna. Mimo że doniesienia mówiły o 2000 zbrojnych, którzy gromadzili się w dzielnicy St. Antoine, gdzie niegdyś stała Bastylia, od dawna uważana za ognisko rewolucji, odzew ludności nie okazał się tak powszechny i szybki, jak spodziewała się Komuna Powstańcza. Z ratusza wysłano delegację do mieszkania Dantona. Jednym z jej członków był prokurator, kuzyn Kamila Desmoulins i mąż Lucille, który trzy lata wcześniej jako pierwszy podburzył popólstwo do szturm na Bastylię. Prokurator był wysokim, zdrowym i silnym człowiekiem, jednak cienkie i wygięte w dół wargi pod wąskim, haczykowatym nosem, wysoko podniesione, nieomal zawsze zmarszczone brwi i rozbiegane oczy nadały mu dziwną powierzchowność. Nazywał się Antoine Quentin Fouquier-Tinville. Danton obiecał mu tejże nocy, że uczyni go swoją prawą ręką. Fouquier-Tinville miał później, w okresie Terroru, oskarżać nieomal wszystkie ofiary gilotyny, a Lenin wspominał o nim w grudniu 1917, kiedy tworzył pierwszą sowiecką tajną policję, poprzedniczkę KGB: *Skąd mamy wziąć naszego Fouquier-Tinville*

1 Ça ira-dosł. „powiedzie się, pójdzie” — pieśń z czasów Rewolucji Francuskiej (1790). Pierwsze jej słowa napisał śpiewak uliczny Ladré, muzykę skomponował Bécourt (przyp., tłum.).

2 Ów zdecydowany i ostry zwrot jest prawdopodobnie najslawniejszym idiomem w języku francuskim, a nie sposób go wiernie przetłumaczyć. Dosłownie znaczy „będzie szło, pójdzie; powiedzie się” bliskie jest angielskiemu *here it goes!*, które do pewnego stopnia, choć nie całkowicie, oddaje pewność, wolę i determinację zawartą we francuskim idiomie (przyp., aut.).



le'a?<sup>3</sup>

Około drugiej nad ranem, wkrótce po wyjściu Fouquier-Tinville'a i jego towarzyszy, Danton uznał, że obecność przywódcy w ratuszu jest niezbędna.

— Nie jest dobrze — powiedział do Gabrielle, która oczywiście nie chciała go puścić — Muszę tam pójść<sup>4</sup>.

Kiedy dotarł na miejsce, ogłosił Gwardii Narodowej i wszystkim zebranym wokół i wewnątrz ratusza, ustanowienie rządów Powstańczej Komuny Paryża. Nigdzie nie widziano burmistrza Jérôme Pétiona; uprzedzono go, na co się zanoszą, a on postanowił się temu nie przeciwstawić. Dowódca Gwardii Narodowej, dzielny i lojalny oficer Antoine-Jean Galliot, markiz de Mandat, trwał jednak na niebezpiecznym posterunku w pałacu królewskim, gotów dać odpór powstańcom.

W dole rzeki, półtorej mili od ratusza, w pałacu i ogrodach Tuileries umieszczono francuską rodzinę królewską. Przetrzymano ją tam od owego strasznego październikowego dnia 1789 roku, kiedy uzbrojony motłoch, podobny temu, gromadzącemu się dzisiaj, przywiódł ich w to miejsce z Wersalu; wówczas na czele pochodu szli ludzie z pikami, na których zatknięto odcięte ludzkie głowy.

Ponad rok temu podjęli dramatyczną próbę ucieczki. Tuż po północy wyslizgnęli się z Tuileries, a następnie z Paryża i przez cały następny dzień pędzili co koń wyskoczy, szukając ocalenia, ale kiedy docierali już do bezpiecznego miejsca, zostali rozpoznani i zatrzymani w miasteczku Varennes. Jednak, mimo że ratowali życie, nie pojechali konno, lecz wsiedli do ciężkiej i powolnej karocy, w której zamiast zbrojnej straży jechała guwernantka, eskortę stanowił fryzjer królowej, a jeden ze zwiadowców był krótkowidzem i niewiele co widział, podczas gdy 28-letni naczelnik poczty Jean-Baptiste Drouet, który ich schwytał, pędził za nimi w zapadającym zmierzchu przez lasy, po kamienistej grani, w szaleńczym galopie ryzykując życiem. Teraz ponownie przebywali w Tuileries, a kiedy posłyszeli larum dzwonów, wiedzieli, że biją one dla nich.

Jego Wysokość Ludwik XVI, król Francji był średniego wzrostu, miał blond włosy, niebieskie oczy i zaczynał tyć. Życzliwy, pobożny i zaledwie przeciętnie inteligentny, w każdej epoce niezbyt nadawałby się na władcę, ale w czasach stabilizacji i pokoju prawdopodobnie poradziłby sobie całkiem nieźle. Francją jednak od z górą trzech lat targają rozruchy, jakich w innych chrześcijańskich krajach nie znano i nawet nie potrafiłoby sobie wyobrazić, a których ów król — wiedząc, że osobiście prawie wcale się do nich nie przyczynił — ani potrafił pojąć, ani nad nimi zapanować. Mimo że zamknięty w Tuileries, wyczuwał groźbę tej nocy już wcześniej, zanim jeszcze uderzono w dzwony. Po raz pierwszy, odkąd zasiadł na tronie, odmówił uczestniczenia w *coucher* — starodawnej ceremonii kładzenia króla na spoczynek. Rzucił się w ubraniu na łóżko, zasypiał na krótko i zaraz się budził. Chwilami zrywał się i chodził po pałacu w wymiętej fioletowej szacie z potarganymi włosami, choć zwykle miał je starannie zakręcone i przypudrowane. Jak zawsze borykał się z fatalnym w skutkach brakiem zdecydowania, który stanowił fundamentalną cechę jego charakteru. Ludwik XVI w żadnym razie nie był tchórzem, żywił jednak nieprzezwyrodną wstręt do rozlewania krwi swego ludu, a jego osobowość nie należała do tych, które potrafią uporać się z każdą trudną sytuacją.

Jego żona, Maria Antonina, była ulepiona z zupełnie innej gliny. Żadna inna kobieta i tylko niewielu mężczyzn doświadczyło równie niesprawiedliwej i mściwie destruktywnej oceny ze strony swych współczesnych oraz historii. We Francuskiej Bibliotece Narodowej, aby przeczytać najpodlejsze pamflety, jakie pisano przeciwko niej tuż przed wybuchem Rewolucji i w czasie jej trwania, nadal wymagane jest specjalne zezwolenie. Mimo że najpotworniejszym i obscenicznym kalumnium nie daje się już wiary, wokół jej imienia nadal unosi się otoczka skandalu, zaprawiona zgryźliwą pogardą. Czyż nie powiedziała o głodujących: *Jeśli nie mają chleba, niech jedzą ciasto!*? Otóż nie. Tą, która wypowiedziała te słowa, była praprababka jej męża, żona Ludwika XIV<sup>5</sup>.

Maria Antonina poślubiła następcę francuskiego tronu jako zaledwie szesnastolatka i przez kilka pierwszych lat, jako księżniczka, a następnie królowa, zachowywała się dość lekkomyślnie. Upiływ

3 Harrison E. Salisbury, *Black Night. White Snow: Russia's Revolutions, 1905-1917*, New York 1978, str. 545.

4 Roben Christophne, *Danton*. London, brak daty, str. 226.

5 Vincent Cronin, *Louise and Antoinette*, New York 1975, str. 13.

czasu, a zwłaszcza macierzyństwo, spowodowały jednak, że spoważniała i wydoroślała. Była bez reszty oddana swej czteroletniej córeczce Marii Teresie Karolinie (której imiona nadano na cześć wspaniałej i bohaterskiej matki Marii Antoniny, która przez czterdzieści lat była cesarzową rządowego przez dynastię Habsburgów Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego) oraz siedmioletniemu synkowi Ludwikowi Karolowi, który został następcą tronu po tym, jak jego starszy brat zmarł na straszną, wyniszczającą chorobę w pierwszych dniach Rewolucji 1789 roku. Maria Antonina była głęboko wierzącą katoliczką. Nie ciemniżyła nikogo. Inteligentniejsza, wrażliwsza i bardziej stanowcza od męża, nieomal od samego początku rozumiała Rewolucję lepiej niż on. Wyczuwała, że w samym jej sercu czai się potworna złośliwość, zasilana, zda się, przez źródła spoza tego świata i przywołująca te tryskające w otchłannych głębinach. Ona, jej mąż i dzieci od trzech długich lat byli więźniami Rewolucji. Po ucieczce, którą w ostatniej chwili udaremiono w Varennes, nieskończenie długiej i przerażającej podróży powrotnej, w trakcie której motłoch niemal na każdym kroku zagrażał ich życiu, jej niegdyś wspaniałe kasztanowe włosy stały się siwe (Spośród tych, którzy wracali królewskim powozem z Varennes, tylko dwie osoby ocalały i przetrwały Rewolucję). Temperament królowej i niemal cała jej uroda zniknęły. Czekala ją jeszcze kalwaria, której zapowiedzią był nieustający dźwięk dzwonów.

Członkowie Gwardii Narodowej przydzieleni do Tuileries kłócili się hałaśliwie, czy powinni wypełnić swój obowiązek i bronić rodziny królewskiej. Ich krzyki, oskarżenia i pogroźki docierały do królewskich komnat. Tylko Gwardia Szwajcarska stała milcząco i niewzruszenie — dziewięciuset młodych wieśniaków z alpejskich dolin bardzo katolickiego kantonu Lucerny. Ostatni, w pełni lojalny oddział zbrojnych, jaki pozostał w Paryżu. Byli nieugięci i panowała wśród nich żelazna dyscyplina, ale mieli zaledwie trzydzieści nabożów na każdego żołnierza, ponieważ burmistrz Pétion odmówił im jakichkolwiek dostaw zaopatrzenia. Marsylczycy zaś przywieźli ze sobą armatę.

Dochodziła czwarta nad ranem. Dzwony w końcu zamilkły, ale na ulicach rozlegał się teraz warkot bębnow, przerywany regularnie łoskotem wystrzałów dział sygnałowych. Niebo na wschodzie poróżwiało; zapowiadał się piękny wschód słońca. Księżniczka Elżbieta, łagodna i świętobliwa siostra króla ujęła drżącą królową za ramię i poprowadziła do okna wychodzącego na ogród Tuileries. — Chodź, siostró — powiedziała — popatrzymy, jak wschodzi świt<sup>6</sup>.

Kilka cennych chwil niemal całkowitego spokoju trwało do momentu, gdy do królewskich kwater wtargnął oficer Gwardii Narodowej. Potoczył dzikim wzrokiem dookoła i wrzasnął: — To wasz ostatni dzień. Naród okazał się najsilniejszy. Ależ to będzie jatka!

Maria Antonina rozplakała się. — Ratujcie Króla! Ratujcie moje dzieci! — krzyczała do zdenerwowanych i niezwracających na nią uwagi oficerów, obecnych w komnacie króla.

Pobiegła do pokoju synka. On jako jedyny z domowników, spał smacznie dzisiejszej nocy, ale teraz, wyrwany ze snu spytał: — Mamusiu, dlaczego chcą skrzywdzić Pape? Jest taki dobry<sup>7</sup>.

Maria Antonina z ogromnym trudem odzyskała panowanie nad sobą. Usiadła tyłem do okna przy kominku, w pomieszczeniu zajmowanym przez pokojowca i zwróciła się do Pierre'a Louisa Roederera, ministra sprawiedliwości i przedstawiciela Zgromadzenia Ustawodawczego drugiego francuskiego rządu. Roederer już wcześniej zawiadomił rodzinę królewską, iż mimo że jest najwyższym urzędnikiem organów sprawiedliwości, w obliczu tego, co się dzieje, nie jest w stanie uczynić niczego, bowiem powstanie, w przeciwieństwie do zwykłych przestępstw, wykracza poza jego możliwości działania. Nalegał, aby rodzina królewska opuściła Tuileries i oddała się pod opiekę Zgromadzenia, które dzisiaj o drugiej nad ranem zebrało się pod przewodnictwem

Pierre'a Vergniaud, sławnego prawnika i mówcy z Gironda — departamentu położonego na południu Francji — aby debatować (jakby w tak wyjątkowej chwili to właśnie było najważniejsze) nad kwestią niewolnictwa Murzynów.

Królowa ponownie zapytała Roederera: — Cóż mamy czynić? — on zaś powtórzył uprzednie zalecenia.

— *Monsieur*, jest tutaj wojsko — odparła Maria Antonina.

---

6 Stanley Loomis, *The Fatal Friendship; Marie Antoinette, Count Fersen and the Flight to Varennes*, Garden City, NY 1972, str. 249-250.

7 Rupert Furneaux, *The Bourbon Tragedy*, London 1968, str. 11 -22.

W tej właśnie chwili doszło w niej do głosu dziedzictwo przodków — władców z rodu Habsburgów, którzy przez pół tysiąclecia rządili Świętym Cesarstwem Rzymskim: — Czas przekonać się, kto zatriumfuje: król i konstytucja czy wichrzyciele<sup>8</sup>

Roederer oddalił się nieco speszony i zdezorientowany. Nie spodziewał się po niej aż takiej odwagi. Sam król, natchnięty przez żonę, wtórował jej przez krótką chwilę. Nie ufał Zgromadzeniu. Będzie walczył o koronę i własne życie. Za kilka minut dokona przeglądu oddziałów.

Była piąta rano. Markiz de Mandat, lojalny dowódca Gwardii Narodowej, większą część nocy spędził w Tuileries. Z ratusza przysłano mu kolejne wezwanie, by stawiał się w magistracie. Kto je przysłał? „Legalne” władze Paryża, na czele z burmistrzem Pétionem, czy tajemniczy powstańcy? Wydawało się, że przysłały je władze miasta akceptowane przez Zgromadzenie Ustawodawcze i Roederer przekonał Mandata, że jego obowiązkiem jest być im posłusznym. Ani król, ani królowa nie przeciwstawiali się temu. Mandat wskoczył na konia i pojechał nabrzeżem Sekwany, kierując się do ratusza. Po drodze widział bardzo dużą liczbę zbrojnych, którzy gromadzili się i sposobili do marszu.

Po przybyciu do magistratu, Mandat ledwie zsiadł z konia, wydał rozkazy, aby: *zaatakować od tyłu i rozpędzić pochód maszerujący na Pałac*. Dowódca batalionu, który ów rozkaz otrzymał, prawdopodobnie nie będąc pewnym, której władzy ma być posłuszny, przekazał go komisarzowi policji Rossignolowi, a ten zawiadomił o nim Dantona. Ten wkroczył groźnie do biura Mandata w towarzystwie Rossignola i zażądał, aby markiz stawiał się przed radnymi powstańczej Komuny i wytłumaczył ze swego postępowania. Mandat, arystokrata, znacznie drobniejszej budowy, unosząc wzrok popatrzył na giganta ze zmasakrowaną twarzą, który kilka dni wcześniej, gdy Pétion przed wybuchem powstania zaproponował usunięcie Mandata ze stanowiska dowódcy Gwardii, powiedział: — Co znaczy usunąć? Zabij go, człowieku! Umarli nie powracają<sup>9</sup>.

— Wasza tak zwana Komuna jest zwykła banda wywrotowych rebeliantów i nie zamierzam przed nimi stawać<sup>10</sup> — oświadczył, a gniew rozplómił mu wzrok. Danton wyciągnął ogromną dłoń i chwycił Mandata za kark. Wtrącono go do więzienia i oznajmiono, że zostaje pozbawiony dowództwa, a jego stanowisko obejmie Santerre, piwowar z dzielnicy Saint-Antoine. Około trzech godzin później wyciągnięto Mandata z celi i zaprowadzono pod strażą na schody ratusza, gdzie czekał komisarz policji Rossignol, który spokojnie dobył pistoletu i z zimną krwią go zastrzelił.

— Mandat dał rozkaz strzelania do ludu — wyjaśnił później Danton. — Dlatego wydałem na niego wyrok śmierci<sup>11</sup>.

Kilka minut po aresztowaniu Mandata, król przypasał paradny miecz i nadal ubrany w wymiętą fioletową szatę, z trójgraniastym kapeluszem pod pachą zszedł do ogrodów Tuileries, aby dokonać przeglądu wojska i na ile to możliwe, dodać ducha obrońcom. Po drodze przeszedł obok szwajcarskich gwardzistów, którzy stacjonowali wewnątrz pałacu, a ci zakrzyknęli do niego: *Precz z frakcjami! Precz z jakobinami!*<sup>12</sup> (Ci wieśniacy byli najemnikami, ale doskonale zdawali sobie sprawę, z czym walczą). Na dziedzińcu jednak, gdzie zgromadzono jednostki Gwardii Narodowej, pierwsze okrzyki *Niech żyje król!* szybko zagłuszyły inne: *Niech żyje naród! Precz z tyranem!*<sup>13</sup> Część gwardzistów złamała szeregi i otoczyła monarchę. Wymachiwali pięściami przed obliczem władcy i nazywali go tłustą świnią. On mimo to kontynuował przegląd i każdej kompanii, do której się zbliżał, mówił: *Kocham Gwardię Narodową!*<sup>14</sup>

Kiedy nie spotkał się z żadną jednoznacznie wrogą reakcją, spytał żałośnie: — Nie sądzicie, że musimy się bronić? — Nawiązując do atakujących, powiedział: — Na pewno tu idą. Czemu chcą? Nie odstąpię dobrych obywateli, moja sprawa jest także ich sprawą<sup>15</sup>.

Wreszcie zrezygnował i śmiertelnie blady powrócił do rodziny.

Chyba niemal dokładnie w tej samej chwili Roederer, który opuścił Tuileries, by dowiedzieć się

8 Dawid P. Jordan, *The King, s Thal: the French Revolution versus Louis XVI*. Berkeley Ca 1979, str. 6.

9 Christophne, str. 226-227

10 *Ibid.*

11 *Ibid.*

12 Jordan, str. 7.

13 Furneaux, str. 24-25.

14 Louis Madelin, *The French Revolution*, New York 1925, str.268.

15 Furneaux, str. 25.



czegoś więcej o wydarzeniach na zewnątrz, natknął się na Dantona. Przywódca rewolucji dużo wypił, Roederer czuł w jego oddechu zapach alkoholu.

— Wszystko zaplanowane. Jesteśmy pewni, że wygramy — powiedział konfidencko olbrzym. — Rzecz jednak w tym, że ludzie są zdecydowani zabić króla dzisiaj, a ja w tych okolicznościach nie uważam, by to było konieczne... Jego śmierć ogromnie skomplikuje sprawę i dlatego jestem przeciwny samemu pomysłowi egzekucji króla. Od ciebie zaś chcę, abyś napędził mu porządnego stracha — przekonaj go, żeby opuścił pałac i poszukał schronienia w Zgromadzeniu. Tam będzie osaczony, a my będziemy mogli potem bez pośpiechu zaaranżować jego abdykację.

Roederer wahał się. Danton błyskawicznie schwycił go za gardło.

— Uważaj — zagrział głosem, który czasem niósł się aż na drugą stronę Sekwany. — W tej tragedii wszyscy mają już przydzielone role. Każdy, kto myśli, że może być tylko widz, zapłaci głową. Nie wahaj się teraz, bo później pożałujesz. Będę ci się przyglądał.

Niespodziewanie ciszę rozdarł huk dział. — Słyszysz to? — wrzasnął Danton. — Bal już się zaczął! Tym razem my wybieramy muzykę, a ludzie zatańczą, jak im zagramy!<sup>16</sup>

W Tuileries król, z dłońmi opartymi na kolanach, siedział przy stole przy wejściu do salonu. Każdy widział, że nie ma najmniejszego pojęcia, co robić. Krzyki na zewnątrz co i rusz przybierały na sile, bo na plac Carrousel naprzeciwko pałacu napływała coraz to większa liczba rewolucjonistów. Powrócił Roederer.

— Wasza Wysokość nie ma ani chwili do stracenia. Bezpieczni będziecie tylko w Zgromadzeniu Narodowym. Opinia ministerstwa jest taka, że powinniście udać się tam bezzwłocznie. Wasza Wysokość nie ma dość ludzi, aby bronić pałacu. Oni nie są do was przychylnie nastawieni. Artylerzyści rozładowali działa... Jest ich dwanaście, a nadciąga ogromny tłum.

Ludwik XVI wstał i podszedł do okna, z którego częściowo rozpościerał się widok na to, co działo się przed pałacem.

— Nie widzę dużego tłumu — mruknął zdumiony król.

Gerdret, kolega Roederera, krzyknął coś w złości. Królowa zganiła go i zwracając się do Roederera powiedziała, że w pałacu nadal jest wielu ludzi, którzy chcą bronić królewskiej rodziny.

— Madame, maszeruje tu cały Paryż — odparł Roederer.

— Czy wszyscy nas opuścili? — spytała Maria Antonina, walcząc z ogarniającą ją rozpaczą. — Nikt nie wystąpi w naszej obronie?

— Opór jest niemożliwy — stwierdził kategorycznie minister. — Czy chcesz Pani być odpowiedzialna za rzeź dokonaną na Królu, waszych dzieciach, sobie samej i wiernych sługach, którzy was otaczają?

— Zachowaj Boże — powiedziała królowa. — Obym to ja padła jej jedyną ofiarą.

— Czas nagli, *Sire* — powiedział chłodno Roederer i spojrzał na króla, który w czasie dyskusji o jego życiu i życiu jego rodziny zachował całkowite milczenie. Teraz także nie odezwał się ani słowem.

— *Monsieur* Roederer — odezwała się zamiast niego księżniczka Elżbieta. — Czy weźmie pan na siebie odpowiedzialność za życie Króla?

— *Madame*, mogę jedynie obiecać, że zginiemy wraz z wami.

Król podniósł się z miejsca i chwiejnym krokiem podszedł do szlachty i oficerów zgromadzonych w salonie.

— Panowie, błagam was, abyście zaniechali beznadziejnej obrony. Ani dla was, ani dla mnie

nie da się tu uczynić niczego. *Marchons!* (Ruszajmy!)<sup>17</sup>.

Eskortowane przez podwójną kolumnę żołnierzy Gwardii Narodowej i Szwajcarów stronnictwo królewskie na czele z Roedererem i podążającym za nim królem, wyruszyło przez ogrody

Tuileries, kierując się do siedziby Zgromadzenia Narodowego. Ptaki śpiewały, świeciło słońce, trawa mieniła się soczystą zielenią. Maria Antonina trzymając synka za rękę, szła za mężem; tuż za nią księżniczka Elżbieta prowadziła za rękę bratanicę Marię Teresę Karolinę i najukochańszą przyjaciółkę królowej, księżniczkę de Lamballe. Z oczu monarchini płynęły łzy. W pewnej chwili poczuła, że nie jest w stanie iść i wsparła się na ramieniu gwardzisty Rochefoucauld, który poczuł, że królowa drży na całym ciele. Ona mimo wszystko nadal starała się przezwyciężyć rozpacz, wołając do swoich dam dworu: — Jeszcze się zobaczymy. — Księżniczka de Lamballe wyszeptwała jednak: — Nigdy już nie wrócimy.

Kiedy zbliżyli się do siedziby Zgromadzenia, musieli przepychać się przez rozeźlony tłum, ale nie spotkali się z żadną poważną próbą zatrzymania. Obradom przewodniczył Pierre Vergniaud — silnie zbudowany mężczyzna, o mocnych rysach, gęstych kręconych włosach, starannie ułożonych nad wysokim czołem, i ciemnych, na co dzień łagodnych oczach, w których jednak, gdy zaczynał przemawiać, pojawiał się płomień. On sam nie był chyba zaskoczony przybyciem rodziny królewskiej, czego nie można powiedzieć o większości deputowanych. Obrady natychmiast przerwano. Król podszedł do Vergniauda i powiedział: — Przybyłem tutaj, aby zapobiec straszliwej zbrodni i wierzę, że nigdzie nie mógłbym być bezpieczniejszy niż pośród przedstawicieli narodu.

Vergniaud odparł: — Możesz liczyć na stałość Zgromadzenia Narodowego. Zna ono swoje obowiązki, a jego członkowie przysięgali przestrzegać poszanowania praw narodu i konstytucyjnych władz<sup>18</sup>.

Słowa te, wypowiedziane przez bezkompromisowego republikanina, jakim był Vergniaud, zostały uznane w oskarżeniu, jakie później wysunął przeciwko niemu Fouquier-Tinville za dowód „rojализmu” i przyczyniły się do jego egzekucji.

Gdzieś w oddali ze swego mądrze wybranego i nigdy nieujawnionego punktu obserwacyjnego, wydarzeniom, jakie już miały miejsce, i tym, które dopiero rozegrają się tego ranka w Tuileries, bacznie przyglądał się niewysoki, dwudziestotrzyletni porucznik artylerii z Korsyki o prostych brązowych włosach i dużych, władczo spoglądających oczach. Kiedy ujrzał, że król i jego stronnictwo opuszczają pałac, ponuro pokiwał głową.

— Ech, gdybym to ja tu dowodził — szepnął do siebie Napoleon Buonaparte<sup>19</sup>.

Wszystkie rewolucje, nawet wedle własnych standardów, mają chwile szaleństwa, zjadliwej ironii i niewybrednego humoru, gdy świat wali się, a fala wydarzeń wynosi na powierzchnię najdziwniejsze wyrzutki społeczeństwa. W tej właśnie chwili dał znać o sobie jeden z nich. Rodzina królewska przebywała w siedzibie Zgromadzenia, ale Francois Chabot, ksiądz, którego pozbawiono godności duchownej i mistrz w rzucaniu najcięższych inwektyw wymierzonych zwłaszcza w Kościół, którego nienawidził, podniósł się z miejsca, aby zaprotestować: Konstytucja Francuska zabrania Zgromadzeniu Narodowemu obradowania w obecności monarchy (Nie odnotowano, aby ktoś przypomniał mu wtedy, że Konstytucja Francuska gwarantuje także monarsze nietykalność, a przyczyna obecności władcy w Zgromadzeniu jest owej nietykalności osobistej pogwałcenie). Vergniaud, napuszony i pompatyczny, poprowadził obrady Zgromadzenia, które oddało się poważnej debacie nad tym trudnym konstytucyjnym dylematem. Nie mogli obradować w obecności Króla: Boże zachowaj, tego nie uczynią! Nie mogli jednak również po prostu go odesłać, bo to prawdopodobnie oznaczałoby jego śmierć, przed którą wszak w żadnym innym miejscu uchronić go nie byli w stanie. Co zrobić? Znaleźli rozwiązanie rodem z „Alicji w krainie czarów”: rodzinę królewską zamknęto w boksie dla stenografa. Było to duszne, małe pomieszczenie, wysokie na 1,80 m i 3,6 m szerokie. Od sali posiedzeń oddzielała je żelazna krata. Formalnie rzecz biorąc, gdy król w nim

17 Furneaux, str.8.

18 *Ibid.*, str. 29-30.

19 *Ibid.*, str. 16; Madelin, str. 269.

przebywał, nie był obecny w Zgromadzeniu. Rodzina królewska weszła do kabiny. Dzieci się przestraszyły. Królowa nadal starała się odzyskać panowanie nad sobą, nerwowo splatając i rozplatając dłonie złożone na podołku. Król, wedle słów niemieckiego obserwatora, sprawiał wrażenie *oszołomionego i bezradnego*<sup>20</sup>.

Rodzina królewska pozostała w tym gorącym i niemal pozbawionym powietrza więzieniu przez następne czternaście godzin.

Kilka minut po odejściu króla atakujący, nie napotykając na żaden opór, przedarli się przez bramy wiodące do Tuileries; żołnierze francuskiej Gwardii Narodowej uciekli bądź przyłączyli się do rewolucjonistów. Na wielkich schodach wiodących do pałacu ujrzeni przed sobą Gwardię Szwajcarską w bojowym oryngaku.

Z tłumu napastników padały wrogie okrzyki i żądania natychmiastowego poddania się. Jeden z przywódców buntowników, niemieckojęzyczny Alzatzczyk Francois-Joseph Westermann wrzasnął: — Poddajcie się narodowi!

— Okrylibyśmy się hańbą — usłyszał w odpowiedzi.

Wówczas jeden z atakujących, znający język niemiecki, próbował przekonać podoficerów i żołnierzy, aby zwrócili się przeciwko swym oficerom.

— Jesteśmy Szwajcarami, a Szwajcarzy oddają broń tylko wówczas, kiedy oddają życie — odparł mu sierżant Blazer<sup>21</sup>.

Zdenerwowani i coraz bardziej rozwścieczeni napastnicy spróbowali ściągnąć Szwajcarów ze schodów hakami halabard. Udało się im to z pięcioma gwardzistami. Rozbroili ich i zmasakrowali. Kapitanowie Zusler i Castleborg, którzy stali na szczycie schodów, dali rozkaz otwarcia ognia. Regularne salwy położyły pokotem motłoch i odpędziły artylerzystów od działa. Atakujący wycofali się na plac Carrousel, na którym uprzednio się zgromadzili. Kapitanowie Dubler i de Pfyffer poprowadzili śmiały wypad. Sześćdziesięciu Szwajcarów sformowało pusty w środku czworobok i ruszyło naprzód, zasypując Carrousel gradem kul. Gwardziści podprowadzili działą, które odbili atakującym i zaczęli strzelać do napastników szukających schronienia w wąskich uliczkach, wychodzących na plac.

Wśród uciekającego w popłochu tłumu znalazł się także oddział marsylczyków.

*Szwajcarzy z wielką werwą posługują się artylerią* — odnotował na swoim posterunku obserwacyjnym porucznik Buonaparte<sup>22</sup>.

Marsylczycy, kiedy znaleźli się poza zasięgiem działa, zwarli szyki i zaczęli ostrzeliwać Szwajcarów, którym zaczynało już brakować amunicji. Westermann nie pozostał paryżanom dłużny i rozpoczęła się zażarta strzelanina z muszkietów; dochodziło także do walki wręcz. Zgiełk bitewny narastał, aż zaczął zagłuszać patetyczną debatę, jaka odbywała się w Zgromadzeniu, zaledwie 500 m od Tuileries. Kilka zabłąkanych kul wpadło przez okna do budynku Szkoły Jeździeckiej, w którym zebrali się deputowani. Mówcy przekrzykiwali hałas, a bliskie paniki Zgromadzenie uchwaliło zdumiewający dekret, który *bezpieczeństwo wszystkich i wszelką własność [oddawał] pod ochronę paryskiego ludu*<sup>23</sup>. Kilku członków Zgromadzenia namawiało króla, który nadal znajdował się w pomieszczeniu stenografa, aby rozkazał Szwajcarom wstrzymać ogień. Ten natychmiast się zgodził i wysłał jednego ze swych dostojników, aby przekazał wiadomość gwardzistom. Był nim Szwajcar, d'Hervilly, generał w stanie spoczynku. Narażając życie, przedarł się pod gradem kul do pałacu, odnalazł kapitana Dublera i przekazał mu rozkaz króla.

Kapitan odmówił jego wykonania. Pamiętał o pięciu gwardzistach, których rewolucjoniści schwyтали, rozbroili i na jego oczach zamordowali u stóp schodów. Wiedział, że ci wrogowie nie znają litości. Poddanie się oznaczało śmierć. Pobiegł do Zgromadzenia, uTORował sobie drogę do dusznego pomieszczenia, w którym zamknięto króla, i błagał go, by wiernym Szwajcarom pozwolił się bronić.

Ludwik XVI podjął wtedy ostatnią decyzję jako król Francji. Była podobna do wielu jego po-

20 Madelin, str. 269.

21 *Ibid.*, str. 270; Furneaux, str. 32.

22 Furneaux, str. 33.

23 Madelin, str. 270.

przednich postanowień, lub raczej ich zaniechania, które mimo najlepszych intencji władcy sprowadziły nieszczęście na niego samego, jego rodzinę oraz poddanych.

— Złóżcie broń. Przekażcie ją w ręce Gwardii Narodowej. Nie jest moim życzeniem, aby ginęli dzielni ludzie — powiedział kapitanowi.

Nawet od najwyższego dowódcy Durler nie mógł przyjąć ustnego rozkazu, który skazywał jego ludzi na śmierć. Poprosił o rozkaz na piśmie. Ludwik XVI mu go wręczył.

*Król rozkazuje Szwajcarom natychmiast złożyć broń i niezwłocznie wycofać się do koszar. Ludwik<sup>24</sup>.*

I tak bębny Gwardii Szwajcarskiej oznajmiły odwrót przed Rewolucją. Maszerując, wycofywali się przez ogrody Tuileries. Zgromadzeni tam zdradzieccy członkowie Gwardii Narodowej otworzyli ogień do przechodzących obok i niestawiających oporu szeregów. Jedna kolumna Szwajcarów poszła do koszar, druga do Zgromadzenia; w obu tych miejscach żołnierze złożyli broń. Kiedy już byli bezbronni, zaatakowano ich. Dokądkolwiek biegli, dokądkolwiek uciekali, gdziekolwiek się kryli, chwytano ich, wywlekano triumfalnie i masakrowano. Wielu straszliwie okaleczano. Zanim to wszystko dobiegło końca, pewien postronny obserwator stwierdził, że jego zdaniem nie ma w Paryżu ani jednej ulicy, na której nie widziano by co najmniej jednej szwajcarskiej głowy zatkniętej na pice. Pod koniec dnia dzieci toczyły niektóre z nich po ulicach. Kobiety, niczym sępy, darły pasy z nagich ciał królewskich obrońców.

W masakrze tej, jednej z najbardziej odrażających, jakie odnotowała historia, zginęło ponad sześćuset żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej (O wiele więcej osób zabito w Auschwitz i innych podobnych mu miejscach, ale tamtych ofiar nie mordowano na ulicach stołecznego miasta w otoczeniu kobiet i dzieci wiwatujących na cześć zabójców i oprawców ludzi, którzy jedynie spełniali swój obowiązek w obronie prawowitego władcy, a później nawet nie próbowali się bronić). Ocalałych wtrącono do więzienia, ale prawie każdy z nich zginął w podobny sposób niecały miesiąc później.

Nadal istnieją historycy, którzy uważają, że śmierć, jakiej doświadczyli, była znośna, a nawet na swój sposób godna podziwu. Zupełnie inna pamięć o tym wydarzeniu zachowała się w Lucernie.

W tym pięknym mieście stoi dziś pomnik przedstawiający lwa, wzniesiony dla upamiętnienia tych, którzy w obcym kraju oddali życie w obronie zagranicznego monarchy. Lew kona, przebiły lancą. Aż do śmierci wierny, trzyma w pazurach tarczę, ozdobioną *fleur-de-lis* — odwiecznym symbolem królów Francji. Poniżej wygrawerowano nazwiska poległych.

Szwajcarscy gwardziści nie byli jedynymi, którzy tamtego dnia stracili życie w Tuileries. Atakujący motłoch zabijał i okaleczał wszystkich, którzy służyli królowi, jakich udało im znaleźć: od szlachty po kucharzy, nie bacząc na wiek ani stanowisko. Jego ofiarą padło ponad dwieście osób, ledwie udało się przekonać, by oszczędzono kilka kobiet, ale w żadnym razie nie wszystkie. Oto relacja Christophera Hibberta:

*Wyrzucali ciała przez okna, nadziewali głowy na piki, rabowali komnaty, rozbijali meble i tłukli szyby, kradli kosztowności i ozdoby, darli papiery i rozrzucali je po podłogach. Zbiegów, którzy próbowali uciekać, dopadali, kiedy ci biegli przez ogród, / zarzynali ich pod drzewami oraz obok fontann. Niektórzy uciekinierzy wdrapywali się na pomniki, ale napastnicy, którzy nie strzelali do nich, bojąc się uszkodzić marmur, strącali ich stamtąd pikami, bagnetami i zakuwali, kiedy ci zeskakiwali na ziemię<sup>25</sup>.*

Drewniane budynki przylegające do pałacu zajęły się ogniem; zabójcy odpędzili strażaków strzałami z dział i pozwolili im płonąć, aż ogień rozprzestrzenił się na niektóre części pałacu.

Nie wszyscy szlachcice i żołnierze obecni w Tuileries owego katastrofalnego ranka byli zdrajcami, tchórzami albo głupcami. Ponieważ nikt nie mógł być pewny, czy stojący obok niego człowiek nie zalicza się do jednej z tych trzech kategorii, zorganizowana obrona, jaką prezentowali Szwajcarzy do czasu otrzymania rozkazu złożenia broni, była niemożliwością, ale byli tam jednak ludzie gotowi oddać życie za królewską rodzinę. Wśród nich znajdowali się dwaj młodzi szlachcice, którzy wkrótce mieli pozostawić po sobie ślad, zarówno w dziejach Rewolucji, jak i w historii oporu, który był przeciw niej skierowany.

Francois-Athanase Charette pochodził z nadmorskiego regionu kraju u ujścia Loary, miał trzydzieści lat, ostre rysy, wysokie czoło, był atletycznej postury, waleczny, elegancki i obdarzony talen-

24 Furneaux, str. 34; Cronin, str. 354.

25 Christopher Hibbert, *The Days of the French Revolution* New York 1980, str. 160.



tem teatralnym.

Henri de la Rochejaquelein — pełen pasji, odważny i elokwentny dwudziestolatek był wysoki i jasnowłosy o bystrych, pełnych życia oczach osadzonych w owalnej twarzy. Był najstarszym synem markiza de la Rochejaquelein. Pochodził ze starej, ale wcale nie bogatej szlacheckiej rodziny osiadłej w Bocage, krainie małych żyznych pól i niemal nieprzebranych żywopłotów w zachodniej Francji, na południe od ujścia Loary. Jego ojciec i brat na fali emigracji szlachty uciekli do Anglii, ale Henri pozostał przy swoim królu; rodzinę Rochejaquelein od wieków cechowała szczególna lojalność względem władcy. Kuzyn Henriego, dwudziestosiemioletni Louis-Marie Joseph, markiz de Lescure był poważny, skryty i całkowicie lojalny wobec monarchii. Miał narzeczoną, Marie-Louise Victoire de Donnissan, chrześniaczkę jednej z córek Ludwika XV (ciotki Ludwika XVI). Tamtego dnia od wczesnych godzin rannych próbował dotrzeć do Tuileries, aby pomóc królowi, ale nie udało mu się tam dostać.

Charette i la Rochejaquelein, pozostawieni przez króla własnemu losowi, znaleźli się w oku cyklonu grabieży i rzezi, jaki rozpętał się w następstwie królewskiego rozkazu nakazującego Szwajcarom złożenie broni. Mimo to, udało się im wyjść z niego cało. Największe niebezpieczeństwo zagrażało Charette'owi, który znalazł się w tłumie rabującym królewskie komnaty. Uratował się wyłącznie dzięki temu, że założył kurtkę zwaną *carmagnole*. Zdarł ją z ciała zastrzelonego przez Szwajcarów rewolucjonisty, a przez ramię przewiesił sobie odciętą nogę jednego z gwardzistów, którzy padli ofiarą motłochu (Fakt, że ów makabryczny rekwizyt okazał się skuteczną charakterystyką, jest szczególnie wymownym przykładem, czym w istocie była rzeź, jakiej dokonano na Gwardii Szwajcarskiej). Żaden z nich nigdy nie zapomniał scen rozgrywających się na ich oczach tamtego dnia w Tuileries. Obaj mieli walczyć za katolicką Francję, ale dopiero po egzekucji Ludwika XVI, gdyż król, póki żył, zabraniał stawać w jej obronie.

To jednak była sprawa przyszłości. Tamtego dnia jedynym miejscem, dokąd mogli uciec i gdzie mogli się schronić, było Zgromadzenie, ale także panowało tam przerażenie. Część szabrowników i zabójców, z dłońmi powalnymi krwią, wrzeszcząc i krzycząc, wtargnęła na salę posiedzeń. Guadet, który o dziesiątej zastąpił Vergniauda w fotelu przewodniczącego, powitał ich uniżenie, mówiąc: — Zgromadzenie podziwia wasz zapach.

Jeden z członków Komuny Powstańczej podbiegł do mównicy i krzyknął: — Wiedźcie, że Tuileries płonie i nie ustaniemy, dopóki zemsta ludu nie będzie zaspokojona!<sup>26</sup>

Mężczyźni i kobiety, miotając groźby, stawali na krzesłach, a nawet wdrapywali się na kolumny, aby stamtąd choć przez chwilę spojrzeć na królewską rodzinę w jej malutkim więzieniu. Maria Antoina drżała i była blada jak ściana; co niezwykle, król wydawał się spokojny.

Wniesiono sztandary Gwardii Szwajcarskiej i złożono je na biurku przewodniczącego. Po nich przyszła kolej na łupy zagrabione w pałacu, które jako „ofiary dla narodu”, ułożono w stertach na stołach naprzeciwko biurka. Pośród nich pojawiła się także część klejnotów królowej. Następnie dorzucono do nich złote cyborium wyjęte z tabernakulum królewskiej kaplicy. Niewykłuczone, że przyniesiono je w zakrwawionych dłoniach. Nadal znajdowało się w nim Ciało Pańskie.

Guadet pozostał w fotelu przewodniczącego, a Vergniaud dołączył do specjalnego Komitetu Dwudziestu Jeden, w którym deliberowano nad losem monarchii.

Jego członkowie rychło uzgodnili stanowisko, a Vergniaud przekazał ich ustalenia Zgromadzeniu. Nie sposób było dłużej udawać, że sławetna Konstytucja z roku 1791 nadal obowiązuje. Zawieszono ją, a wraz z nią instytucję monarchy. Zarządzono także wybory nowego ciała ustawodawczego. Zadeklarowano jednocześnie, że rodzina królewska *do czasu, kiedy w Paryżu zostanie przywrócony spokój, znajduje się pod opieką organu ustawodawczego*<sup>27</sup>.

Przywracanie spokoju w Paryżu trwało bardzo długo, zajęło z górą siedem lat.

Rewolucjoniści zrealizowali swoje najważniejsze dążenia; ci, którzy ostro domagali się abdykacji

26 Madelin, str. 272.

27 Claude G. Bowers. *Pierre Vergniaud, Voice of The French Revolution*, New York 1950, str. 230.

i stracenia króla, nie mieli (jak widzieliśmy) poparcia Dantona, który owo powstanie wywołał. Ogłoszenie wyborów do Konwencji Narodowej oznaczało zniesienie za jednym zamachem monarchii, konstytucji i rozwiązanie obecnego Zgromadzenia Narodowego. Dwa ośrodki władzy istniejące w Paryżu, zanim 10 sierpnia zaczęto bić w dzwony, zostały jej pozbawione. Pozostała jedynie Komuna Powstańcza.

Kiedy rozgrywały się wszystkie te wydarzenia, Danton spał. Był absolutnie pewny ostatecznego rezultatu. Było już popołudnie, kiedy podekscytowany Kamil Desmoulins obudził go i poinformował, że Zgromadzenie 284 głosami przeciwko 222, wybrało go ministrem sprawiedliwości rządu tymczasowego.

Zapał wieczór. W hotelu Diesbach, markiz de Lescure i jego dziewiętnastoletnia żona Marie-Louise Victoire, którą poślubił niecały rok wcześniej, doskonale zdawali sobie sprawę, że ponieważ znano ich tutaj jako zwolenników króla, odnalezienie ich przez zabójców jest tylko kwestią czasu. Marie-Louise była w siódmym miesiącu ciąży. Opuścili hotel w przebraniu. Początkowo, na ulicach, którymi podążali, panował złowrogi spokój. Kiedy dotarli w pobliże Tuileries, zobaczyli, że pałac stoi w płomieniach. Mijali grupy pijanych, uzbrojonych ludzi, którzy ryczeli coś w zamroczeniu. Na Champs Elysées natknęli się na kobietę uciekającą przed mężczyzną ze strzelbą, który groził, że ją zabije. Kobieta uchwyciła się ramienia Lescure'a, błagając, żeby ją ratował. Na drugiej ręce uwiesiła mu się Marie-Louise — nie miał więc żadnej możliwości, aby sięgnąć po broń.

Prześladowca powiedział: — Zabiłem już dzisiaj kilka arystokratek, ta będzie następna.

Czym tak go rozzłościła? — Zapytałem ją o drogę do Tuileries; chciałem tam pójść i zabić Szwajcarów, ale mi nie odpowiedziała.

— Masz rację, ja też tam idę<sup>28</sup> — odparł Lescure. Następnie przekonał mężczyznę, że musi znaleźć bezpieczne miejsce, gdzie zostawi kobiety, zanim wspólnie wyruszą do Tuileries, aby zabić Szwajcarów. Na tym stanęło i każdy z nich poszedł swoją drogą. Ostatecznie Lescure wraz z żoną znaleźli schronienie w mieszkaniu jego dawnej gospodyni. Marie-Louise Victoire była skrajnie wyczerpana i nie potrafiła zapanować nad spazmatycznym szlochem.

W tym samym czasie w Klubie Jakobinów, który był siedliskiem rewolucji, przemawiał niewysoki mężczyzna. Nie było w nim niczego ujmującego; miał słaby, piskliwy głos, bladą, ziemistą cerę, długą szczękę z wydatnym podbródkiem oraz wyraźnie zaznaczone, wypukłe brwi, a na twarzy od czasu do czasu pojawiał mu się nerwowy tik. Krótkowzroczne, szarzielone oczy owego człowieka cechowało osobiście przenikliwe spojrzenie, a wrażenie to potęgował jeszcze nawyk przysłaniania ich okularami, a następnie podnoszenia szkieł na wysokość brwi, tak aby oczy stawały się przez to jeszcze wyraźniej widoczne. Ubierał się bogato i dystyngowanie, ale poza tym był wstrzemięźliwy i purytański. Nie lubił kobiet. Kochał władzę, lecz ta, którą dysponował, nie była jeszcze nazbyt wielka. Gardził bogactwem i znany był jako „Nieprzekupny”. Pochodził z Pikardii — prowincji, która dała światu Jana Kalwina. Nazywał się Maksymilian Robespierre i w czasie Rewolucji Francuskiej miał stać się główną postacią okresu Terroru.

Mówił właśnie o wielkiej doniosłości mającej się wkrótce odbyć Konwencji Narodowej i wyboru jej członków. Nalegał, żeby jakobini wysłali swoich przedstawicieli do wszystkich prowincji, by wyjaśniali wydarzenia tego dnia i dopilnowali natychmiastowego uwolnienia wszystkich więzionych rewolucjonistów. On sam jednak, o ile wiemy z dotychczasowych ustaleń historyków, nie odegrał żadnej roli w wydarzeniach 10 sierpnia.

Tuż przed północą, rodzinę królewską uwolniono wreszcie z zamknięcia i przeniesiono do klasztoru Les Feuillants, tuż za budynkiem Szkoły Jeździeckiej, w którym zbierało się Zgromadzenie Narodowe. Rewolucjoniści otoczyli Bourbonów ze wszystkich stron. Drogę oświetlały płomienie świec zamocowanych na muszkietach. Oddano im do użytku cztery zatęchłe cele. Od lat nikt z nich nie korzystał i nie było w nich mebli. Któryś z nielicznych, ocalałych z pogromu służących, przyniósł

---

28 Marchioness de La Rochejaquelein, *Memoirs* (tł. ang. Sir Walter Scott), Edinburgh 1816, str. 24

materace. Z zewnątrz nadal dobiegały groźby wykrzykiwane przez rewolucjonistów, głównie pod adresem królowej. Niektórzy wdrapywali się na kratę, skąd mieli widok na korytarz, przy którym znajdowały się cele. *Strącić jej głowę!* — wołali.

Ludwik de Bourbon, który nie był już królem Francji, otulił głowę starym sukniem i ułożył się na materacu. Ostatnie słowa, jakie wypowiedział, nim zasnął, brzmiały: — Ludzie żałują, że nie zaatakowałem buntowników. Ale jaki byłby tego skutek?<sup>29</sup>

Długi dzień dobiegł końca, dzwony wybiły północ. Teraz każdy, kto zechce zapewnić sobie we Francji sprawiedliwość, będzie musiał spotkać się z Georgesem-Jacquesem Dantonem.

## II. Za Chrystusa albo za Rewolucję

(5 maja 1789 — 9 września 1792)

Spośród wszystkich wstrząsów społeczno-politycznych, jakie odnotowała historia, żaden nie stanowił równie wielkiego zaskoczenia dla współczesnych, jak Rewolucja Francuska.

Tę fundamentalną historyczną prawdę przysłania mglista otoczka legendy i bezpodstawne założenie, jakie przyjmuje się w odniesieniu do owego wstrząsającego wydarzenia. Głosi ono, że Rewolucja Francuska bardziej niż jakiegokolwiek inne zdarzenie polityczne przez dwa minione stulecia kształtowała historię zachodniego świata. Fakty są jednak takie (a przyznają to uczciwi i wnikliwi historycy), że za rządów Ludwika XVI, do maja 1789 roku, kiedy w Paryżu zwołano Stany Generalne, nie nawiedził Francji żaden z jeźdźców Apokalipsy. Nie pojawił się ani jeden tradycyjny zwiastun nadciągającej katastrofy. Nie było wojny, która osłabiłaby państwo i wytraciła młode pokolenie. Kiedy wybuchła Rewolucja, Francja od sześciu lat cieszyła się całkowitym pokojem. Nie było głodu. Mimo że często wyolbrzymia się wąski margines rzeczywistej nędzy, biedotę francuską było stać na chleb, który stanowił jej podstawowe pożywienie. Margines ów, co prawda, istniał, ale większość narodu miała co jeść. Oczywiście, w przypadku większości ludzi dostępność żywności nie zmieniła się na przestrzeni życia. Nie było zarazy. Nie było wielkich przewrotów religijnych. Na przekór modnemu niedowiarstwu, szerzącemu się w niektórych kręgach klas wyższych i mimo popularności, jaką cieszyli się wśród pewnej liczby intelektualistów zajadłe antychrześcijańscy w swoich poglądach Wolter, Diderot i Rousseau, owe idee i tendencje nie wywierały w roku 1789 prawie żadnego wpływu na zwykłych mieszkańców Francji. Nie było zorganizowanej opozycji politycznej, żadnej grupy, która nawoływałaby do rewolucji, ani niczego podobnego. Do pewnego stopnia wynikało to z faktu, że w kraju nie było także surowego, zakrojonego na szeroką skalę politycznego ucisku. W tym miejscu legendy i bezpodstawne założenia splatają się z sobą najściślej. W roku 1789 rząd Francji poniósł głównie skutki własnych zaniedbań, ale nie ciemństwa. Większość członków rodziny królewskiej i wyższej arystokracji po prostu nie traktowała poważnie swoich obowiązków rządzenia krajem. Część zła i niektóre przypadki rzeczywistych prześladowań zrodziły się z popełnionych przez nich zaniedbań. Nie stanowiły jednak części ani rezultatu jakiejś konkretnej polityki lub planu; nie były także zbyt dotkliwe. Ludwik XVI zaś, choć niezbyt skuteczny jako władca, mimo wszystkich swych wad, był pryncypialnym monarchą, który pragnął wypełniać swe obowiązki i podjął wiele istotnych inicjatyw ustawodawczych, zwłaszcza w dziedzinie podatków. Miały one właśnie przeciwdziałać skutkom owych zaniedbań.

Francja borykała się z dość poważnymi problemami gospodarczymi, wynikającymi z wadliwego i niesprawiedliwego systemu podatkowego. Znacznym brzemieniem były też długi — efekt wojny zakończonej w 1783 roku. Francuska pomoc pozwoliła wtedy amerykańskim koloniom uniezależnić się od Wielkiej Brytanii, ale Francja nie wyciągnęła z niej natychmiastowych i wymiernych korzyści. Problemy te skłoniły króla oraz jego doradców do podjęcia decyzji o zwołaniu Stanów Generalnych, czyli zgromadzenia przedstawicieli trzech stanów: duchowieństwa, szlachty i ludu. Ostatni raz obradowały one aż 175 lat wcześniej. Problemy, z jakimi borykał się kraj, nie groziły jednak katastrofą: nie były na tyle poważne, by zawiadamiać o nich cały naród. Większość Francuzów najprawdopodobniej w ogóle nie zdawała sobie sprawy z ich istnienia, a jeśli już, to w niewielkim stopniu.

Niemniej jednak rachunek krzywd był rzeczywisty i sięgał daleko w przeszłość. Kraj potrzebował reform. Już sam fakt, że Stany Generalne nie zbierały się od 175 lat, ukazywał, do jakiego stopnia rząd oddalił się od narodu. Zjawisko to przybrało postać politycznej struktury, określanej jako ab-

29 Furneaux, str. 41.